

— Bo starego męża zbyt długo opłakiwać nie można — szepnął murzyn, uśmiechając się złośliwie.

— Czy to prawda, że nas pan opuszcza? Czy nie żal panu będzie naszej Warszawy?

— Dla służącego, panno Maryanno, tam przebywać miło, gdzie go lepiej płaca, a ja jadę do Paryża, kędy podobno wynagradzają nas teraz naj-sowiciej. Dawniej bywało rozmaicie, lecz obecnie, jak słyszę, ceny miały się potroić.

— Ma pan słuszność! Gdybym umiała po francusku i jabym natychmiast do Paryża poleciała, bo Paryż, jak powiadają, ma być piekłem dla koni, ale zato dla kobiet rajem prawdziwym.

— Zwłaszcza dla takich, jak pani, panno Maryanno.

Dzieweczyna zarumieniała się po białka oczu i rzekła:

— Pan Selim chce się widzieć z panią... Czy mam pójść ją o tem zawiadomić?

— Dziękuję... proszę się nie fatygować... już ja sam się zaanonsuję.

To mówiąc, z swobodą człowieka, nie starającego się być zbyt grzecznym, otworzył drzwi, wiodące do buduaru. Zatrzymał się na progu, dostrzegł bowiem Marcelinę i Kazimierza, siedzących w dość znacznej od siebie odległości. Wydali mu się nadąsani, smutni, pogrążeni w głębokim zamyśleniu.

Pierwsza ocknęła się hrabina i zawołała gniewnie:

— Od kiedyż to Selim pozwala sobie wchodzić do mnie bez wezwania lub zawiadomienia?

— Niech pani hrabina przebaczy mi moją śmiałość — rzekł murzyn, kłaniając się z udanym uszanowaniem. Przyszedłem podziękować za służbę. Dziś wieczór jadę do Paryża, skąd udam się może nawet do rodzinnego kraju, w Afryce, który dzieckiem opuściłem.

Poczem zamknął drzwi za sobą i stanął przy nich wyprostowany, przeszywając młodą parę ostrym i badawczym spojrzeniem. Twarz Marceliny powlekała się woskową bladeścią.

— Co jeszcze Selim ma mi do powiedzenia? — zapytała dumnie, tonem pogardliwym...

— Nie brałem pensji przez trzy miesiące...

— Proszę pójść do pana rządcy, a on Selimowi co się należy wypłaci.

— Czy pani hrabina sądzi, że rządcą będzie mógł uregulować mój zaległy rachunek? — odparł murzyn hardo i bezczelnie. Jestem pewny, że nie. Rachunek to znaczny i niezwykły, o czym wie najlepiej pan mecenas, który ciągle patrzy się na mnie, jakby chciał wzrokiem swoim przybić mnie do ziemi. Pan Molski, jako adwokat, rozumie prawdopodobnie, że znane mi są pewne fakty, nieczekające na ujawnienie, a które jednak ujawnić mogę. Piętnaście lat służyłem nieboszczykowi wiernie, a w ciągu tych lat piętnastu nic się przed oczami memi nie ukryło; to zaś, co widziałem na chwilę przed zgonem, oraz w chwili konania mojego starego pana, dotyczy wprost pani hrabiny i jej... jakże to powiedzieć... narzeczonego. Tak, narzeczonego!... Przypuszczam więc, że państwo oboje nie chcielibyście prawdopodobnie, abym szczegółowo opowiedział komu przypisać należy to, co się stało.

Kazimierz przejęty obawą, oniemiał. Nie był w stanie przemówić ani słówka. Chowa się za japoński parawan, ustawiony naprzeciw kominka, jakby pragnął ukryć za nim śmiertelną bladeść swego czoła i strach, malujący się w błędnym spojrzeniu.

— Pan mecenas się boi — ciągnie dalej Selim, a głos jego dźwięczy gorzką ironią — pani zaś nie śmie mnie badać, o ile i w jaki sposób znana mi jest straszna tajemnica, mogąca tak ją, jak jej narzeczonego stawiać przed sądem karnym. Zresztą przyznaję, że byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną pytać o nią, bo oboje państwo przekonani jesteście, że wiem wszystko. Tak; przekonani jesteście, że widziałem równie panią hrabinę, jak pana Molskiego, wchodzących razem do pracowni mego pana w parę sekund po ucieczce „tamtego“... niewinnego... który utratą czci i wolności płaci zbrodnię przez was popełnioną.

— Ależ ja nie popełniłem zbrodni! — zawołał Kazimierz zdławionym i drżącym głosem. Ty wiesz o tem najlepiej... ty, który przyznajesz się bezwstydnie, że nas szpiegowałeś!

— Zbrodni nie popełniłeś pan istotnie, lecz pozwoliłeś jej dokonać. Nie chciałeś bronić hrabiego, bo pragnąłeś, aby kochanka pańska została wdową...

— Nikczemniku! — rzekł Kazimierz, zaciskając pięści — słowami, które teraz wyrzekłeś, wydałeś sam na siebie wyrok śmierci!

— Proszę do mnie się nie zbliżać, bo trupem położę — odparł Selim, wydobywając rewolwer z kieszeni. Czy sądziłście, że głupiec?... że na konferencję naszą przyjdę bez broni? Ależ przecie wiedziałem z góry, że uważać mnie musicie teraz za waszego śmiertelnego wroga, który wolność waszą i życie trzyma w swoich dłoniach, więc ostrożnym być musi. Od chwili, w której zamordowaliście hrabiego, zależnymi jesteście od mojej łaski i niełaski... lecz czekałem cierpliwie na właściwy moment, gdy dla mnie dogodnym będzie mówić, lub działać. Chciałem z dowodem rzeczonym stanąć przed wami... chciałem pani pokazać sznur, na którym nie zdążyłaś wyprać paru plam krwi, dotąd widocznych. Oto jest! Ukryliście go starannie, lecz wiedziałem gdzie... więc szukałem i znalazłem. Złożę go sądowi... albo doręczę ojcu pańskiemu, panie mecenasie... i powiem: „Składam sznur, którym uduszono hrabiego Jelskiego. Jeśli pan sędzia wątpi o prawdzie mego zeznania, to racz zapytać swego syna, który był współnikiem morderstwa“.

— O Boże, mój Boże! czuję, że oszaleję! — jęknął młody adwokat, tracąc przytomność. Hra-

w którym tonąłem w Paryżu; wynagradzał zawsze sowicie... więc go żałuję i żałowałem... bardzo żałowałem nieraz. Nic przedemną nie ukrywał. Wiedziałem o wszystkim, co zaszło między nim a panią hrabiną przed i po ślubie. Mówił mi, że podstępnie wciągnięty został do domu jej ojca, że zakochał się w pani szalenie... Mówił mi nawet o wyznaniu, jakie mu pani hrabina uczyniła, gdy się oświadczył o jej rękę...

Marcelina zachwiała się i zbladła.

— A potem — ciągnął murzyn dalej — o dziecku, które miałaś z innym i ukryłaś na wsi...

Nagła myśl, jak błyskawica, przeleciała przez mózg hrabiny.

— Rozumiem! rozumiem!... To ty je skradłeś!... ty jeden wiesz, gdzie jest i co się z nim stało! — krzyknęła wzruszona do głębi, załamując ręce.

— Wiem tylko, że żyje... lecz znam kobietę, która mogłaby je pani hrabinie zwrócić... jednak... — mruczał poprawiając się — pewny jestem, że nie odda... ani nawet wskaże, dopóki nie będę jej mógł powiedzieć: „Jestem bogaty. Masz tu oto dwadzieścia pięć tysięcy rubli, ale zwróć mi malca, którego ci przyniosłem przed dziesięciu laty“.

— Żądam czego zapragniesz, lecz zwróć mi dziecko moje! Powiedz, wiele chcesz za nie?

— Wiele chcę?... ba, częśćkę zaledwie owych milionów, które pani hrabina skradła z kasy mego pana, ukrytej w murze pracowni, tam... w pałacu... w Alejach...

— Szatanie!

— Czy nie mówiłem, że wiem wszystko?...

Westchnął głęboko, przesuwając dłoń po czole. Poczem ciągnął dalej:

— Znałem i ja skrytkę oddawna. Nieraz widziałem hrabiego, jak chował do niej worki ze złotem i całe stosy banknotów. To też nabiłem sobie głowę milionami, z których nikt nie korzysta, które gniją marnie w ścianie pałacowej... zaprzepaszczone, bezużyteczne! Od chwili, gdy uśmierdziście hrabiego, nie miałem ani momentu spokoju. Dla tego was nie wydałem natychmiast, chociaż miałem szczerą ochotę pomścić mego pana, do którego byłem przywiązany, pomimo, że go szanować nie mogłem. Lecz to złoto tam, ta olbrzymia fortuna, leżąca w kasie żelaznej, o której zdawało mi się, że nikt prócz mnie nie wie, zamykało mi usta. Myślałem sobie, zakradnę się kiedy, gdy nikogo w pałacu nie będzie, odcisnę wewnątrz zamku

w wosku, a w kilka dni potem każę z odcisku kluczyk dorobić... i stanę się panem bogactw, z którymi w kraju rodzinnym, w pośród moich nieszczęśliwych, wyzyskiwanych, czarnych współziomków, dokonam wiele dobrego... Lecz pani hrabina mnie uprzedziła!... I mówią, że my ludzie biedni i niskiego urodzenia jesteśmy kanalie bez czci i wiary, że kradzież dla nas, to chleb powszedni. Gdzież zaś!... Pani przecie wielka dama... a pan, syn człowieka powszechnie szanowanego, o nieskalanej reputacji... I cóż? Oboje, po spełnieniu wspólnie strasznej zbrodni, przyszliście chyłkiem, skrycie, nocą, żeby rabować i zagarnąć cudzą własność. Ktoby to mógł przypuścić? A jednak tak się stało. Miliony obecnie do was należą! Używacie ich razem, bo już nic was rozłączyć nie może... bo zjednoczeni mordem ohydny, gotowi jesteście wspólnie popełnić dalej każdą nikczemność!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Proszę się do mnie nie zbliżać, bo trupem położę...

bina nieruchoma, pozornie spokojna, wyczekująca, nie mieszała się dotąd do gwałtownej rozmowy, prowadzonej niemal ciągle szeptem, lub półgłosem. Przyciszony ton, jakim Selim dotąd przemawiał, obudził w jej bystrym umyśle mniemanie, że murzyn — pewny siebie — albo chce pomścić śmierć swojego pana, do którego (jako faworyt jedyny) mógł się w ciągu piętnastoletniej służby przywiązać szczerze — a wtedy grozi jej zguba nieuchronna — albo pragnie z tragicznej sytuacji wyciągnąć dla siebie jaknajwiększą korzyść materialną, więc należy układać się z nim natychmiast, bez uniesień i roztropnie.

Zbliżyła się do niego i położywszy mu rękę na ramieniu rzekła słodko:

— Chcesz nas zgubić?... Czemu?... Czy co złego wyrządziliśmy ci oboje? W jakim celu grozisz nam denuncjacją? Czy pragniesz zrehabilitować skazanego? Ależ go nie znasz przecie! Los tego człowieka obchodzić cię nie może... Czy masz prawo uskarżać się na mnie? Czy sprawiłam ci kiedykolwiek, choćby najlżejszą przykrość?

— Przez panią hrabinę cierpiał mój pan wiele... Dobry był dla mnie; wyciągnął z nędzy i błota,